

# CZY W ETNOGRAFII WYSTĘPUJĄ BIAŁE PLAMY?

Ludwik Stomma

## ETNOLOGIA

Pojęcie „białych plam” jest na tyle szerokie i nieprecyzyjne, by nie rzec koniunkturalne, że i moja odpowiedź na postawione pytania musi być poniekąd wielowarstwowa:

1. Nie, nie było w polskim środowisku etnograficznym — i wielka chwała mu za to — „białych plam” nakazowych, wynikających z doktrynerstwa lub oportunistycznego polityczno-ideologicznego. I tak na przykład w Katedrze Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego pod kierownictwem Witolda Dynowskiego, a następnie Zofii Sokolewicz podejmowano, wiele lat przed dzisiejszą koniunkturą, drażliwą podówczas tematykę żydowską (Cała, Bartoszewski) czy łemkowską (Regulska). Dyskutowano problem niszczenia niemieckiej spuścizny kulturowej na Ziemiach Zachodnich (Wieczorkowski), subkultury więziennej (Szczepkowski) czy realnych wyznaczników prestiżu społecznego na wsi (Ciołek)... Oczywiście, wiele ważkich tematów o politycznym wydźwięku, których skomponować by tu można cały katalog, podjętych nie zostało. Jest tego jednak przyczyną brak wyobraźni, intuicji, chęci, czasem kadr do badań, nie zaś jakkolwiek obawa przed polityczno-cenzorską represją środowiska.

2. Oczywiście — eliminowano z tematyki badań i skazywano na przemilczenie całe szerokie sfery życia. Decydowały o tym wszakże zupełnie inne względy.

— Po pierwsze swoista pruderia skłaniająca do dyskwalifikowania tematów „nieeleganckich”, czyli „niestosownych”. To ona spowodowała, że praca Świątka o ludzie nadrabskim z końcem XIX wieku jest ostatnim rzetelnym obrazem dnia codziennego polskiego chłopca. W badaniach kultury wsi kręci się nadal polska etnografia w roztańczonym do skretynienia świecie Kolberga. W latach 1945—1975 (można sprawdzić w monografii Teresy Kuleszy-Zakrzewskiej) popełniono 58 prac magisterskich o obrzędach rodzinnych i dorocznych wieśniaków (sam zgrzeszyłem), 33 o wierzeniach i magii, 27 o twórczości plastycznej, 22 o stroju ludowym... Ani jednej o życiu seksualnym, a co za tym idzie o wstydzie, gwałcie, honorze, prostytutce, ani jednej o przemocy w stosunkach międzyludzkich, o pijaństwie i jego metafizyce, o korupcji, o stosunku do ubogich czy upośledzonych... Podobnie w pracach o środowisku robotniczym. Czy straszno spojrzeć w chamską mordę, by czasem własnej w niej nie odnaleźć, czy — chociaż wieki mijają — świat ma być nadal „spokojny i wesół”? Tak czy owak, by zrozumieć nagły, dławiący strach, który ogarnia nas w ciemnej parczewskiej uliczce, nie warto sięgać do dorobku polskiej etnografii. Nie będzie tam ani cienia poszlaki.

— Po drugie zacofanie metodologiczne dyscypliny (parę jaskółek wiosny nie czyni), które nie uświadomiła sobie nadal, że jej specyfika zasadza się w sposobie spojrzenia na obiekt, a nie w formie

owegoż obiektu lub jego nieistniejącej „jakotakości”. Stąd tylko na marginesach środowiska (IS PAN, grupa „Skawiczan”, Jacek Olędzki) prowadzi się badania nad cywilizacją współczesną, nad własnym środowiskiem dnia powszedniego. Zresztą i wśród tych pionierów nie brakuje metologicznej naiwności, kiedy to na przykład rozumie się po frazerowsku mit jako dziwactwo (praca o herbach szlacheckich w reklamie) lub wyprowadza hipotezy z pozycji wartościujących (prace o pieśni strajkowej, kulcie papieża), zapominając o podstawowej, a mało widać znanej, zasadzie, iż etnolog dziwi się, a nie ocenia.

— Po trzecie środowisko etnograficzne w Polsce żyje lub cynicznie udaje, że żyje w poczuciu ciągłego zagrożenia. Stąd przymus solidarności i kategoryczny zakaz kałania gniazda. Z biegiem lat wytrzebiły one — i to jest dla mnie największa i najgroźniejsza biała plama polskiej etnografii — wszelką dyskusję wewnątrzśrodowiskową, nie mówiąc już o krytyce traktowanej niczym wynoszenie brudnej bielizny na zewnątrz. Byłoby ciszej nad trumną. Dam dwa przykłady:

a. W 1953 obroniona została na UMK praca magisterska: „Narzędzia rolnicze od kija do traktora”, w 1966 na UJ: „Rogatywka jako forma ludowego nakrycia głowy w Polsce na tle porównawczym rogatywek Eurazji”, w 1968 na UWBB: „Analiza kultu niedźwiedzia w świetle wierzeń i obrzędów ludowych w Polsce z uwzględnieniem genezy tego kultu u ludów totemicznych”... Dzięki Bogu, że śmieszność nie zabija gdyż nie życzą nikomu przedwczesnego zejścia. Faktem jest jednak również, że nie podniósł się żaden głos protestu, czy choćby dobrotliwego zdumienia.

b. Trwa i pogłębia się proces negatywnego doboru kadr w kluczowych teoretycznych ośrodkach dyscypliny. Nie tak dawno jedną z najbardziej w Polsce zasłużonych etnograficznych katedr uniwersyteckich objęła osoba pozbawiona minimum wiedzy i formacji antropologicznej, zrzucona tam na spadochronie przyjacielsko-środowiskowych układów. I oczywiście układy owe okazały się i okazują nadal ważniejsze od dobra dyscypliny, kompetencji naukowej, odpowiedzialności dydaktycznej. I cisza znów.

W tej sytuacji nie wierzę, aby, prócz indywidualnych przedsięwzięć, była polska etnografia w stanie podjąć tematy nowe, twórcze, dotąd zapoznawane. Konieczne byłoby do tego głębokie przekształcenie jej dyspozycyjnych placówek. Musieliby odejść jedni, trzeba byłoby znaleźć drugich. Problem w tym jednak, że lata bez krytyki, bez konfrontacji z czołową, spędzone w ciepłej tolerancji przyczynkarstwa i miernoty wprawiły środowisko w dobroduszne samouwielbienie. Niniejsza odpowiedź na pytanie redakcji oburzy więc co najwyżej mandarynów dyscypliny. Do refleksji jednak nie skłoni. Tak. Białą plamą polskiej etnografii jest LUSTRO.

Antoni Kroh

## SZTUKA LUDOWA

„Białe plamy” — to drwiące określenie przeszło ciekawą ewolucję w publicystyce lat osiemdziesiątych. Na początku sprawa była jasna: „białe plamy” to fakty i zjawiska historyczne, zwłaszcza z historii najnowszej, oficjalnie przemilczane z przyczyn politycznych lub pseudopolitycznych, lecz przechowywane w świadomości

społecznej i przekazywane z pokolenia na pokolenie, często w formie mitów. Podając cały szereg oczywistych argumentów, żądano usuwania „białych plam” z podręczników historii, z planów wydawniczych, z desek scenicznych. Rozpoczęła się szeroka dyskusja. Nikt, broń Boże, nie podważał słuszności owych żądań, ale rzecz charakte-

rystyczna: pojęcie „białych plam” zaczęło szybko tracić na precyzji (nie samo z siebie, oczywiście). Rozmyć, rozwodnić, utopić w gadaninie. Pisze się już o białych plamach na usługowej mapie osiedla, o białych plamach w gazyfikacji kraju itp. Jednocześnie — podczas usuwania białych plam zaczęły się dziać rzeczy zabawne. Na przykład trzy oficjalne przekłady pamiętnego zdania ministra Mołotowa z września 1939 roku. Wszystkie trzy pokrętnie. „Białe plamy” obrośli już w dodatkową frazeologię, w dowcipy: pisze się o wywabianiu (?) białych plam, przestrzega się, aby nie dopuścić do zamalowania białych plam na szaro, na czerwono, na czarno; biała plama — to ironiczny epitet, jakim ostatnio obdarza się człowieka z mroczną przeszłością polityczną. Odnoszę wrażenie, że dzieje publicznej dyskusji nad białymi plamami to nasza najnowsza biała plama. Temat do ciekawej i pouczającej rozprawki.

Zaprošony do dyskusji nad „białymi plamami” w sztuce ludowej, musiałem porzucić wygodny punkt widzenia outsidera, przedstawiony powyżej i zabrać się do roboty. Najpierw postanowiłem spisać na karteczce wszystkie tematy tabu, jakie mi tylko przyjdą do głowy. Główna trudność polegała na tym, że musiałem owe tematy wymyślać, same jakoś do głowy nie przychodziły. Współpracuję z „Polską Sztuką Ludową”, od dwudziestu lat; gdyby w ciągu tego czasu chociaż raz nie „puszczono” mi jakiegos tekstu z przyczyn politycznych, byłoby mi dzisiaj o wiele łatwiej wsadzić na głowę rycerski szyszak z pióropuszem i ruszyć do walki o wolność-słowa, skoro już wolno. Niestety, tak się nie stało. Więc teraz zwyczajnie poczucie przyzwoitości zmusza, abym rozpoczął wypełnianie etnograficznych białych plam od siebie.

Przekonać się, że jakiś temat jest aktualnie tabu, można w jeden jedyny sposób: opracować go i złożyć do druku. Wszelkie inne sposoby są zawodne. Autor nie jest od zgadywania, co w tym roku pójdzie, a co nie. Autor ma zdobyć się na odrobinę godności i pisać, jak potrafi najlepiej. To wszystko. Nie ma co się sugerować tzw. polityką kulturalną, która tańczy raz do pieca, raz od pieca i niepodobna jej prognozować, zwłaszcza na przeciąg pięciu-sześciu lat, bo tyle teraz wynosi cykl produkcyjny książki. Można natomiast na nią wpływać, a to w jeden jedyny sposób — poprzez aktywność twórczą humanistów, w tym wypadku etnografów. Mówię, bom smutny i sam pełen winy. Weźmy dla przykładu temat: HUCULSZCZYŻNA W KULTURZE POLSKIEJ. Dwadzieścia kilka lat temu, gdy kończyłem studia, był to temat absolutnie tabu. Czy absolutnie? Gdybym wówczas, nie oglądając się na nic, zabrał się do pisania książki pod takim tytułem, z pewnością udałoby mi się tu i tam opublikować fragmenty pracy, zwróciłbym na siebie uwagę, z wielką radością pomogliby mi ludzie, którzy dzisiaj już nie żyją, stałbym się w tej dziedzinie specem, a teraz niejedno wydawnictwo przyjęłoby maszynopis z pocałowaniem ręki. Kogóż miałbym obwiniać o to, że tak się nie stało? Kolejnych ministrów kultury, cenzorów, funkcjonariuszy partyjnych? Nie, tylko samego siebie. Nie ma co sprawy demonizować: zainteresowanie Huculszczyzną nie zaprowadziłoby mnie do więzienia, nie wyrzucono by mnie za to z pracy. Temat był tabu, ale nic nie stało na przeszkodzie, abym zrobił z niego doktorat.

Podobnie ma się sprawa z wieloma innymi zakazanymi tematami. Potrafię dzisiaj wymienić tylko jedną „białą plamę”, uwarunkowaną wyłącznie sytuacją polityczną, a nie impotencją środowiska. Bardzo mi brakuje książki pt. KATALOG POLSKICH ZABYTKÓW ETNOGRAFICZNYCH W MUZEACH ZSRR. Na ten temat krążą u nas legendy. Opowiada się o tajemniczych magazynach w Leningradzie; przechowywane są tam jakoby muzealia z Polski, wywiezione po 1905 roku oraz przy innych okazjach. Czy ktoś w tej sprawie prowadzi rozmowy ze stroną radziecką, podobne do tych, jakie prowadzą bibliotekarze? Podobno jakiś rosyjski kolekcjoner tuż przed wybuchem I wojny światowej wywiózł z Podhala, Sądeckiego i Łemkowszczyzny kilkadziesiąt skrzyń eksponatów etnograficznych. Może ocalały? Może uda się trafić na ich ślad? To tylko przykłady. Mówiąc ogólniej: zwykłe, robocze kontakty z etnografami ZSRR, zwłaszcza Ukrainy, Białorusi i republiki nadbałtyckich, swobodny dostęp do tamtejszych zbiorów i archiwów (rzecz jasna, na zasadzie wzajemności), przyczyniłyby się niewątpliwie do wypełnienia niejednej „białej plamy”, do niejednego wartościowego odkrycia.

Sprawa ta, ogromnie dla nas ważna, ma ściśle uwarunkowania polityczne. Szkoda, że tyle lat się zmarnowało. Nie z naszej winy. Wszelkie zmiany na lepsze, otwierające nowe możliwości przed historykami kultury polskiej, wypada powitać z nadzieją.

Trzeba jednak, niezależnie od wielkiej polityki, odpowiedzieć sobie na drażliwe pytanie: czy jesteśmy w dostatecznym stopniu przygotowani do tych kontaktów? Mam tu na myśli nie tyle przerażająco niski stan wiedzy na temat wschodnich sąsiadów, to dałoby się jeszcze stosunkowo szybko odrobić — ile polskie poczucie wyższości, dziwaczny anachronizm, niezdolność dla Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, przekreślający szansę normalnej współpracy. Jesteśmy chorzy na brak poszanowania dla ich kultur, na niezdolność do prób zrozumienia (co nie oznacza: przyjęcia) ich racji historycznych. Krótko mówiąc — POLONOCENTRYZM. Mniejsza w tej chwili, skąd się to zjawisko bierze i co je utrzymuje przy życiu (interesujący temat dla wypełniaczy białych plam). Stosunkowo łatwo jest wyznaczyć granicę między polskim patriotyzmem i naturalnym zainteresowaniem polskimi pamiątkami na wschodzie, a polonocentryzmem. Jest to granica dobrego smaku. Tu nie pomoże pierestrojka ani odgórnie dobra wola mężów stanu, która jest zaledwie warunkiem wstępnym; tutaj czynnikiem decydującym będzie postawa inteligencji polskiej. Wydawałoby się, że właśnie etnografia, nauka o wzajemnym przenikaniu kultur, jest w stanie spojrzeć na polskość godnie, w szerszym kontekście. Niestety, różnie z tym bywa. W miarę rozszerzania się autentycznych, a nie lakierniczo-delegacyjnych kontaktów kulturalnych z sąsiadami sprawa ta zacznie nabierać znaczenia, a za każdy błąd przyjdzie grubo zapłacić.

Polonocentryzm etnografii (czy szerzej — etnocentryzm nauk społecznych w Polsce) to ogromnie interesujące, skomplikowane zjawisko, warte rzetelnego opracowania. Do dzisiaj temat leży odłogiem. Niewątpliwie z przyczyn politycznych, ale przede wszystkim — zgola innych... Gdyby środowisko było prężniejsze i bardziej samodzielnie intelektualnie oraz moralnie, naciski polityczne byłyby relatywnie mniejsze i nie miałyby takiego znaczenia, jakie im się teraz przypisuje w dyskusji o „białych plamach”. To nie minister ani sekretarz partii osobiście zestrugiwał z tragarza pewnej zabytkowej chałupy napis niemiecki i zastępował go polskim. To nie była wyłącznie kwestia politycznej aury i nie ma się co teraz zasłaniać błędami poprzedniej ekipy. Nie pisano odważnie i mądrze, bo nie było wolno. Teraz będzie odważnie i mądrze, bo już wolno. Były tematy tabu, ale pewnego dnia przyszedł dobry szaman, zdjął zaklęcie, więc możemy brać się do roboty: wypełnimy białe plamy i wszystko będzie jak należy. Cóż to za żalosne stawianie sprawy...

Na temat narodowych i politycznych determinacji, określających postawę humanisty, ukazał się przed kilkunastu laty znakomity artykuł. Autor zestawiał polskie i niemieckie rozprawki archeologiczne: jedne dowodziły, że pewna grupa zabytków związana jest niewątpliwie z osadnictwem słowiańskim, inne, także bardzo solidnie podbudowane, że z germańskim. Chodziło o te same zabytki. Cóż nam ukazuje owo zestawienie? Oprócz innych rzeczy to, że humaniści-naukowcy swe uwarunkowania polityczne oraz swą ksenofobię ubierają w formę naukowych konstatacji. W które sami następnie niezłomnie wierzą. Tutaj trzeba wyjawic rzecz przykrą: autorem artykułu był absolwent polskiej uczelni, ale Węgier, pracę swą opublikował w Budapeszcie. Moja polska dumą narodowa cierpi — szkoda, że to nie któryś z naszych.

Niestety, nie bardzo wierzę, aby w najbliższym czasie znalazł się odważny humanista o rzeczywistym, nie urzędowym autorytecie, który podjąłby gigantyczny trud przygotowania Polaków do wielkiego spotkania, po ponad półwieczu, z naszym kulturowym dziedzictwem na wschodzie. Spośród zagadnień, które składają się na problematykę „białych plam”, sprawa ta ma znaczenie kluczowe. Obawiam się, że uchylenie furtki w kontaktach kulturalnych może dać niespodziewany wynik: zaognienie stosunków ze wschodnimi sąsiadami. Do starych antypolskich urazów dojdą nowe. Dziejowa szansa ułożenia sobie zdrowych stosunków z Ukraińcami, Białorusami i Litwinami może zostać zaprzepaszczone albo odsunięta w nieodgadnioną przyszłość.

Powróć jednak do karteczki, na której wypisałem „białe plamy” w etnografii, szczególnie w sztuce ludowej. Ich stopień „upolitycznienia” jest różny — niekiedy dominujący, niekiedy raczej nikły. Jak łatwo zauważyć, w każdym z wymienionych poniżej tematów istnieją dwa elementy, warunkujące się nawzajem: śmieszność politycznych decydentów różnych stopni i marazm środowiska, niezdolnego do zdrowej reakcji.

**DZIEJE MECENATU NAD SZTUKĄ LUDOWĄ W PRL.** Nie jest to typowa „biała plama”, gdyż na ten temat pisano sporo, czasem aż za dużo. Lecz wiele stwierdzeń wymaga przewartościowania, a całość aż prosi się o syntetyczne ujęcie. Opisując mecenat nad sztuką ludową w PRL trzeba będzie podjąć kilka istotnych problemów, które dotychczas, o ile mi wiadomo, nie zostały dostrzeżone przez badaczy. Na przykład: stosunek mecenas państwowego do tematyki sakralnej w sztuce ludowej. Etnografowie opowiadają sobie na ten temat anegdoty, ale chyba nikt jeszcze nie spróbował przyrzeć się sprawie z bliska, metodycznie i z należytym obiektywizmem. Na razie kilka okrucichów. Zabytkowa kapliczka, kupiona przez Muzeum Okręgowe w Częstochowie, została zapisana w księdze wpływów jako „obiekt z wieżyczką”, gdyż w innym wypadku Urząd Wojewódzki, a może ktoś inny, nie zatwierdziłby rachunku. Współczesne rzeźby ludowe, przedstawiające świętych, figurują w katalogach, na wszelki wypadek, np. „Piotr”, „Florian”, nie „święty Piotr”, „święty Florian”; „Maria” nie „Matka Boska”, „Ukrzyżowany”, „Frasobliwy” bez „Chrystus”. (Kariera Chrystusa Frasobliwego w PRL — cóż za wspaniały temat!) Należałoby dokładnie opisać interesujący nurt we współczesnej sztuce ludowej: mieszanie się tradycyjnej ikonografii sakralnej z pożądaną przez mecenasów tematyką świecką i wynikające stąd wzruszające melange, np. Pietà jako sanitariuszka niosąca rannego partyzanta AL, słynne przeistoczenie Marksa w świętego Józefa, mniej słynne przemiany Mojżesza w Kopernika i z powrotem (gdy Rok Kopernikowski minął, a rzeźby nie udało się sprzedać) itd. Warto przypomnieć próby oderwania konkursów na palmy wielkanocne od tradycji. Niedzieli Palmowej. Trzeba opisać powojenne dzieje „topienia Marzanny”; jest to jedyny spośród tradycyjnych obrzędów dorocznych w Polsce, całkowicie wyzbyty pierwiastka religijnego i z tego powodu odgórnie lansowany z godną podziwu konsekwencją. Topienie Marzanny jest po dziś dzień bowiem spontaniczną zabawą w szkołach podstawowych całego kraju; dzieci nazywają tę uroczystość „Dniem Wagarowicza”.

Pisząc o państwowym mecenacie nad sztuką ludową lat siedemdziesiątych, niepodobna pominąć jej „dworskiej” funkcji. Przedstawiciele władz przybywali na festiwale jako „gospodarze”. Gospodarze kraju, województwa, miasta — tak się wówczas mówiło. Stojąc na balkonie, „gospodarze” pozdrawiali korowody w strojach ludowych, wiwatujące na ich cześć (np. w Płocku). Dziękowali chłopskim artystom w takiej formie, jakby cała twórczość ludowa istniała wyłącznie po to, by sprawić im przyjemność. Pod koniec lat siedemdziesiątych na Podhalu i Spiszu odbywał się konkurs folklorystyczny „O złoty zbyrcok Jaskierni”. Nie wiem, co teraz porabiają Jaskiernia i jego zbyrcok, ale miejsce w historii sztuki ludowej mają zapewnione.

Pisząc o tamtym okresie, niepodobna również pominąć tematu **NICOŚĆ ARTYSTÓW PLASTYKÓW A SZTUKA LUDOWA**. Schemat myślowy przebiegał tu mniej więcej tak:

1. Dzieło twórcy ludowego może mieć wielką wartość artystyczną, większą niż dzieło artysty plastyka.
2. Wartość artystyczna dzieła twórcy ludowego jest niewątpliwa, ponieważ jest to dzieło twórcy ludowego.
3. Z czego jasno wynika, że każde dzieło twórcy ludowego ma wartość artystyczną. Tymczasem wiadomo, że nie każde dzieło artysty plastyka ma wartość artystyczną. Przyznają to sami plastycy.
4. A więc artysta plastyk to zawód o wątpliwej przydatności społecznej, a co za tym idzie, istnienie artystów plastyków jako takie może budzić zastrzeżenie natury moralnej. Funkcję artystów plastyków mogą przejąć twórcy ludowi, z lepszym skutkiem i znacznie mniejszym kosztem. Dodatkowy, niebagatelny walor twórczości ludowej polega na tym, że jest ona bezpieczna pod względem ideowym i nie może budzić zastrzeżeń artystycznych (patrz p. 2).

W społeczeństwie o tak straszliwie niskiej kulturze plastycznej, jakim jest społeczeństwo polskie, tezy powyższe trafiły do przekonania wielu ludziom i dziś też znalazłyby swych obrońców.

W ogóle sztuka ludowa lat siedemdziesiątych to pasjonujący, przebogaty i wciąż nie odkryty temat. Kolorowa, ale równocześnie biała plama. Mogę to stwierdzić, ponieważ coś na ten temat wiem: zaangażowałem się w nią przed laty z całym młodzieńczym zapałem, dzięki niej przeżyłem wiele pięknych chwil, dzięki niej dostałem mieszkanie. Wciąż stoi mi w pamięci dzień, w którym dowiedziałem się, że znam się na sztuce ludowej, ponieważ ukończyłem studia etnograficzne (nie mieliśmy ani jednego semestru zajęć o sztuce). Zdziwienie trwało krótko, lyknałem swój awans jak kieliszek dobrej wódki i od razu poczułem się pewniej. Skoro już byłem ekspertem, należało to spożytkować.

Kolejny nie ruszony temat: **CZYM BYŁ SIERPIEŃ OSIEMDZIESIĄTEGO ROKU DLA SZTUKI LUDOWEJ?** Niewątpliwie, zamknęła się wówczas pewna karta, również w historii kultury ludowej. Ci, którzy dotychczas mieli w głowie świętki, gliniane kogutki oraz rzeźbione łyżniki, zajęli się czymś innym. Wydarzenia ruszyły jak lawina, przetoczyły się lata osiemdziesiąte i mało kto zauważył, że tymczasem opuściło po angielsku ten padół całe pokolenie wspaniałych chłopów i bab, którym zawdzięczamy niejedno artystyczne wzruszenie — czasem najprawdziwsze, czasem udawane, najczęściej jedno i drugie na raz. Co stało się z twórczością ludową, gdy przestał ją chronić parasol ideologii, mocno podziurawiony? W którym kierunku poszły przemiany? Co dalej?

Tematów nie tkniętych przez badaczy, z takich lub innych przyczyn, znalazłoby się o wiele więcej. Na przykład: **SZTUKA LUDOWA MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH W POLSCE I JEJ TRAKTOWANIE**. Tyle jest rozmaitych festiwali i przeglądów folklorystycznych; dlaczego nie widuje się na nich zespołów litewskich, białoruskich, ukraińskich, słowackich? Wydawałoby się, że organizatorom owych przeglądów zależy na jak największej różnorodności programu. Może znajdzie się autor, który w sposób wyważony i uczciwy opracuje to zagadnienie?

Kolejny pasjonujący, a pominięty problem badawczy, nazwijmy go prowizorycznie **UNARODWIENIEM SZTUKI LUDOWEJ NA TERENACH ETNICZNIE MIESZANYCH**. Dla przykładu „rozchodzenie się” repertuaru polskich i słowackich zespołów folklorystycznych na Spiszu i Orawie. „Polski” strój górali z Chochołowa i „słowacki” strój górali z Suchej Góry. Niemiecki i polski folklor Górniego Śląska, ich wzajemne przenikanie (np. stroje śląskie w polskich zespołach pieśni i tańca i te same stroje na zjazdach ziomkostw w RFN). Skoro polską sztukę ludową uznajemy za nasze podwórko, to warto wiedzieć, gdzie kończą się nasze tereny, w jaki sposób „nasze” zmienia się w „nie nasze”. Jak wygląda nasza zagroda, oglądana z za płotu sąsiada?

Kolejny temat-ugór: **SZTUKA LUDOWA A ZASIEDLENIE ZIEM ZACHODNICH I PÓŁNOCNYCH**. W krakowskim Muzeum Etnograficznym właśnie trwa jubileuszowa wystawa, obrazująca dokonania Zespołu Dokumentacji Polskiej Sztuki Ludowej Instytutu Sztuki PAN w Krakowie. Z mapy, prezentowanej na wystawie, wynika, że naukowcy z Instytutu ani razu nie penetrowali Dolnego Śląska, sporych połaci Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej. Niewątpliwie były po temu ważne powody, wiem, w jakich warunkach pracuje Zespół, lecz fakt pozostaje faktem: sztuka ludowa Ziem Zachodnich i Północnych, zwłaszcza sztuka ludowa ludności napływowej, jest białą, a w najlepszym razie lekko zabarwioną plamą.

**SZTUKA LUDOWA A UTRWALANIE WŁADZY LUDOWEJ**. Na ten temat znam tylko jedną historię, znad Dunajca, ale myślę, że znalazłoby się ich więcej. Opowiadano mi, że w czterdziestym dziewiątym roku funkcjonariusze UB otoczyli nad ranem chałupę i wyjęli z niej dwunastoletniego chłopaczka razem z jego góralskim strojem. Oszałała z rozpaczki matka wystawała przed komendą, usiłując się czegoś dowiedzieć; jednego dnia powiedziano jej, że synek został rozstrzelany jako wróg ludu, drugiego dnia, że UB o niczym nie wie, władza ludowa nie walczy z dziećmi i baba coś sobie ubzdurzyła albo pomieszała jej się w rozumie. Sprawa wyjaśniła się po tygodniu. Chłopczek został wywieziony do Warszawy,

wręczał na lotnisku kwiaty jakiejś dostojnej delegacji, po czym odwiedziono go z powrotem. Pelen wrażeń, przywiózł do chałupy wielką torbę cukierków od Bardzo Ważnej Osoby.

Wielcy odkrywcy, na przykład w dziedzinie medycyny lub lotnictwa, mieli dość odwagi, by wypróbować swe wynalazki na samych sobie. Spróbujmy dokonać analogicznego eksperymentu i stosując metody badawcze etnografii oraz dyscyplin pokrewnych stwórzmy zbiorowym wysiłkiem pomnikowe dzieło pt. ETNOGRAFIA ŚRODOWISKA ETNOGRAFICZNEGO. Niewątpliwie wypełnimy znaczącą białą plamę. Jeśli władza będzie robić obstrukcje, trudno, zjedźmy do podziemia. Zdarzało się wielokrotnie, że etnograf przyjeżdżał na wieś na dwa, trzy tygodnie i powstawała z tego dysertacja. Autor, prócz zrozumiałej dumy, odczuwał jednak pewien niedosyt, wynikły ze ślizgania się po powierzchni tematu. Ponieważ środowisko etnograficzne to jedna wioska, której każdy mieszkaniec, od bogatego gburą aż do ostatniego komornika, prowadzi obserwację uczestniczącą, nareszcie mamy szansę stworzyć dzieło naprawdę kompetentne, które, jestem tego pewien, zdobędzie sobie powszechne uznanie, a być może zostanie przetłumaczone na obce języki.

Konspekt takiej pracy winien być sporządzony według obowiązującego schematu monografii etnograficznej. Nie czuję się na siłach, by taki konspekt sporządzić. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na kilka zagadnień szczegółowych.

Ludzie, zajmujący się profesjonalnie sztuką ludową (nie mam tu na myśli twórców ludowych i działaczy STL, lecz naukowców, doradców, muzealników, komisarzy konkursów i wystaw, zawodowych i półzawodowych jurorów) to grupa zawodowa o ciekawych cechach wyróżniających. Co określa jej specyfikę? Na przykład to, że wśród opiekunów współczesnej twórczości ludowej jest bardzo niski procent osób pochodzenia wiejskiego. Sporo przecież chłopskich dzieci studiowało etnografię, historię sztuki lub którąś z nauk pokrewnych, ale tak się jakoś dzieje, że współczesną sztuką ludową niemal wyłącznie zajmują się ludzie, wychowani w tradycji inteligentkiej, najczęściej postszlacheckiej lub z kręgów oświeconego mieszczaństwa. Wydaje mi się, że w tym zawodzie pochodzenie chłopskie jest raczej hamulcem niż podniętą. Spośród moich znajomych humanistów z wyższym wykształceniem najbardziej lekceważąco wyrażają się o współczesnej sztuce ludowej koledzy, pochodzący ze wsi. Nie wiem, jak zestawić ten fakt z kategorycznym twierdzeniem niektórych badaczy, że sztuka ludowa jest odzwierciedleniem klasowej tożsamości i klasowych dążeń ludu.

Jak wiadomo, plastyczną wartość dzieł sztuki ludowej jako piersi dostrzegli nie ludoznawcy, lecz artyści. Sztuka ludowa ze strony „panów” stała się najpierw przedmiotem doznań estetycznych, a dopiero w następnej kolejności — badań naukowych i ochrony muzealnej. Ten fakt nie pozostał bez konsekwencji — zastanawiające, jak wielu niedosłyszanych malarzy lub rzeźbiarzy zajęło wybitną pozycję w dziejach opieki nad sztuką ludową w Polsce. Janina Oryńska pisze wprost, że do pracy na niwie sztuki ludowej skłoniły ją, pośród innych przyczyn, także marne wyniki na Akademii Sztuk Pięknych. Inni są mniej szczerzy, więc tym mocniej uwiera ich artystyczne niespełnienie. Skoro można sporządzać syntetyczny strój ludowy jakiegoś regionu (a można, bo przecież robi się to nagminnie), można również sporządzić syntetyczny portret zawodowego opiekuna sztuki ludowej. Jest to osoba pochodzenia inteligentkiego; ze wsią mniej lub bardziej zżyta, ale niewsiowa. Obdarzona inklinacjami artystycznymi, najczęściej plastycznymi; są one na tyle silne, by nie dawać spokoju, i na tyle słabe, by nie móc się urzeczywistnić w twórczości własnej.

W miarę ilościowego rozwoju współczesnej sztuki ludowej w latach sześćdziesiątych, a szczególnie siedemdziesiątych, zaczęli odwracać się od niej wybitni artyści. Wówczas rolę ekspertów w sprawach, związanych ze współczesną sztuką ludową, przejęli stopniowo na własność etnografowie. Jest to oczywista uzurpacja, chociaż zapewne nieświadoma: studia etnograficzne nie dają przygotowania do zabierania głosu w sprawach sztuki. (Aby być dokładnym: sprawa ta ma się różnie w zależności od uczelni i rocznika, ale na ogół sprawa ta ma się źle). Etnograf może co najwyżej wyrokować, czy dane dzieło jest zgodne z tradycją ludową

albo nie, może mówić o wędrowaniu motywów i wątków, o miejscu sztuki w tradycyjnej społeczności wiejskiej itd., ale te kryteria oceny w odniesieniu do zjawisk współczesnych bywają mocno problematyczne i często schodzą na plan dalszy. Mimo to pozycja etnografów jako ekspertów w dziedzinie współczesnej sztuki ludowej jest społecznie uznawana. Na ten temat można by napisać interesujące studium z socjologii myślenia potocznego.

Podstawową cechą, która określa badacza sztuki ludowej jako naukowca, jest jego stosunek do zbieranych informacji. Wiadomo, że etnograf chodzi po wsi i indaguje ludzi, aby uzyskać dane, które następnie spożytkuje w pracy naukowej. Jest to metoda badawcza, wykształcona w XIX wieku, gdy przedmiotem badań ludoznawczych była lokalna społeczność ludzi niepiśmiennych, którzy swą kulturę duchową przechowywali i przekazywali następnym pokoleniom w formie ustnej. Główną ideą, przyświecającą ówczesnym ludoznawcom w ich pracy, była chęć utrwalenia owego kulturowego bogactwa na piśmie, aby przynajmniej w ten sposób uchronić je od zagłady. Praca ta na ogół przyniosła pożądane skutki: dawna kultura ludowa przetrwała o wiele pełniej w publikacjach etnograficznych, niż w pamięci prawników. Współczesny etnograf, jak każdy inny naukowiec podejmujący jakiś problem badawczy, winien zaznajomić się z dotychczasowym stanem wiedzy. Może więc się zdarzyć, i częstokroć tak bywa, że współczesny etnograf lepiej zna zagadnienie niż jego informator, którego cała rzecz nie interesuje. (Dawny ludoznawca badał kulturę żywą, istniejącą niezależnie od niego; współczesny bada jej relikty lub rzeczywistość, wykreowaną przez samego siebie). Stąd już krok do przekonania, że dobry etnograf powinien z góry wiedzieć, co informator mu odpowie. Jeśli zeznania informatora są zgodne z oczekiwaniami badacza, spełniły swoje zadanie i już nie muszą być prawdziwe. Gdy zaś informator nie spełnia pokładanej w nim nadziei, można to wyjaśnić zerwaniem tradycji ustnej w społeczności lokalnej i płynącą stąd niewiedzą informatora. Z reguły wyjaśnienie to oparte jest na realnych przesłankach. Czytelnikom mniej inteligentnym przypominam, że nie prowadzę tu wykładu z metodyki badań terenowych, lecz wypełniam białe plamy w etnografii.

Naiwność etnografów w przyjmowaniu informacji, niekiedy równie wspaniała jak wiekopomna naiwność autora *Nowych Aten*, o ile mi wiadomo nie stała się dotychczas przedmiotem dociekań naukowych, chociaż jest przedmiotem licznych anegdot, tj. pardon, przechowywana jest w tradycji ustnej środowiska. A to któryś badacz zapisał pół zeszytu informacji, uzyskanych od chłopca, który dopiero co wyczytał je w gazecie „Poznaj Świat”, a to znowu chłop oznajmił badaczowi o istnieniu kurnej chałupy, bo myślał, że chodzi o chałupę, w której się kury (w tamtej okolicy kurna chałupa nazywa się „dymna”, o czym badacz nie wiedział), zebrała się grupa znawców i ubolewała, że kurna chałupa ma komin, a więc została zeszpecona. A to znowu pewien przewodnik tatrzański, znany facecjonista i erotoman, zapłonął świętym oburzeniem na etnografkę zza oceanu, która podczas wywiadu dopuściła możliwość, że góralki mają przedślubne doświadczenia seksualne, skutkiem czego ukazał się w amerykańskim czasopiśmie etnologicznym artykuł o niebwyale purytańskim Zakopanem, i tak dalej, i tak dalej. Takie rzeczy opowiada się wieczorami na konferencjach etnograficznych. Może ktoś porównałby, stosując etnologiczny aparat naukowy, uczestnictwo etnografów w konferencjach z uczestnictwem społeczności wiejskiej w niedzielnej Mszy Świętej? Nasuwają się tu przecież wyraźne analogie. Udział w niedzielnym nabożeństwie, prócz oczywistych funkcji religijnych, zaspokaja także niezmiernie istotne potrzeby społeczne. Mieszkaniec wsi, idąc do kościoła, manifestuje swoje istnienie, swą zamożność; wymienia niezbędne informacje, załatwia najrozmaitsze sprawy od towarzyskich po gospodarcze, zaspokaja naturalną potrzebę przebywania w gromadzie. Podobnie konferencje etnograficzne. Rolę sacrum mogą tu pełnić np. referaty o pasożytach drewna, ale przecież nie jedzie się przez pół Polski po to jedynie, by wysłuchać najnowszych rewelacji na temat tępienia skąposzczetów. Przed laty plotkowano na jednej z takich konferencji, że Jacek Ołędzki przeprowadził, wedle kryteriów etnologicznych, porównanie procesji Bożego Ciała z pochodem pierwszomajowym na niekorzyść tego ostatniego. Rozprawka napisana została dla „Argumentów”, ale wylądowała całkiem gdzie indziej i w rezultacie

zmodyfikowano scenariusz pochodzący od tamtego czasu przywódcy, nim wejdą na trybunę honorową, również maszerują kilkaset metrów Marszałkowską, jak wszyscy.

Etnografowie żyją w diasporze, dlatego konferencje spełniają wybitną rolę w ich kulturze duchowej i choćby z tego tytułu warte są opracowania.

Napisałem przed chwilą, że współczesny etnograf bada rzeczywistość, wykreowaną przez samego siebie. Zdarza się to coraz częściej i jest procesem, jak sądzę, naturalnym; w miarę zanikania ostatnich relikwów dziewiętnastowiecznej kultury chłopskiej przedmiot badań etnografii gwałtownie topnieje, kreowanie sztucznej rzeczywistości etnograficznej jest więc zrozumiałym odruchem samoobrony. W naukowym czasopiśmie, zajmującym się sztuką ludową, nie ma potrzeby tłumaczyć różnicy między kobietą wiejską, która ubrała się w tradycyjny strój i idzie do kościoła, a dziewczyną z miasta, która włożyła tenże strój do fotografii. Tymczasem publikacje etnograficzne pełne są zdjęć tego drugiego rodzaju. Nietrudno wyłowić je spośród innych; wyróżnia je dziwaczność i sztuczność. Dziewczyna jest osobno, strój osobno, a wrażenie tandety pogłębiają „ludowe” gesty i dodatkowa aranżacja. obrońcy takich praktyk powiadają, że jest to swego rodzaju naukowa rekonstrukcja, a strój lepiej prezentu je się na żywym człowieku, niż na manekinie. Od biedy można by to przyjąć, gdyby nie fakt, że w podpisie pod takim zdjęciem rzadko kiedy zaznacza się, iż jest to rekonstrukcja; częściej obserwujemy próby wmówienia widzowi, że mamy tu do czynienia z autentycznym. Zjawisko to nie było dotychczas badane. W Polsce może ono zainteresować socjologa kultury, w Stanach Zjednoczonych właściwszy byłby psychoanalityk.

Podobnie ma się rzecz z wnętrzami skansenowskimi lub z innymi ekspozycjami muzealnymi. Dla przykładu „czarna izba” i „biała izba” w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem. Ta rekonstrukcja wnętrza dawnej chaty góralskiej, zresztą krytykowana przez etnografów, była wielokrotnie publikowana jako typowa, autentyczna izba chłopska. Jak wiadomo, kultura ludowa Podhala od stu lat z okładem uwieczniana jest na fotografiach, rysunkach, obrazach. Wiem na pewno, że istnieje cały szereg rycin i zdjęć, wykonanych przed I wojną światową, przedstawiających wnętrza góralskich chałup. Czy są one mniej sugestywne, czy mają mniejszą wartość poznawczą od wystawy na Krupówkach? Wydaje się jednak, że publikowanie ekspozycji muzealnej jako autentycznej jest nie tylko przejawem wygodnictwa, a już z pewnością nie jest świadomym wprowadzaniem czytelnika w błąd. Tutaj możemy zaobserwować zjawisko znacznie ciekawsze — autosugestię, projekcję marzeń na rzeczywistość czyli etnograficzne chciejstwo. Etnograf chce, by wnętrze skansenowskie było maksymalnie zbliżone do autentycznego, więc osiąga ideał, mianując je autentycznym.

Wielu współczesnych twórców ludowych to również rzeczywistość wykreowana dla potrzeb etnografów i ich klientów. Temat: **WSPÓŁCZESNA KULTURA LUDOWA JAKO RZECZYWISTOŚĆ WYKREOWANA** czeka na swego badacza.

W dziele na temat etnografii środowiska etnograficznego trzeba będzie poświęcić wiele miejsca sztuce ludowej etnografów. Badacz tego problemu, posługujący się metodą etnograficzną, nie ma co liczyć na obfity plon wywiadów z twórcami. Etnografowie rozumieją świetnie celowość wywiadu, ale tylko wówczas, gdy pytają, a nie gdy sami staną się przedmiotem badań. Lecz to przecież nic nie szkodzi: każdy etnograf nieraz opierał swe konstatacje na wiadomościach z trzeciej ręki, więc i teraz można uciec się do plotek, krążących w środowisku. Trzeba je tylko zebrać i naukowo opracować. Opowiada się, jak pewien wybitny etnograf wyrzeźbił dla zabawy kapliczkę ludową, taką absolutnie ludową; odwiedził go drugi etnograf, zachwycił się prymitywem, chciał kupić do muzeum, prosił o adres twórcy, spotkał się z odmową, wynikły z tego niesnaski i oskarżenia o zawodową zawiść, więc pierwszy etnograf przyznał się, że to on sam jest autorem dzieła, drugi etnograf rzecz jasna nie uwierzył, tylko jeszcze bardziej się rozjątrzył. Opowiada się o etnografie, który przetrząnął piłką rzeźbę w muzeum przez pół, aby mieć temat do rozprawy o magicznym traktowaniu świętych figur w kulturze ludowej, a potem chwalił się tym w gronie przyjaciół, dowodząc, że skoro dawni chłopci wrzucali za karę figurę św. Jana Nepomucena do wody albo św. Floriana do ognia, to on również ma prawo, a nawet obowiązek, postąpić podobnie, by wczuć się w mentalność wieśniaka. Istnieje książka o ludowym rzeźbiarzu, bardzo piękna; podobno autor ze swym bohaterem w ogóle nie rozmawiał albo prawie w ogóle, a wszystkie wypowiedzi ludowego artysty sam powołał do życia, wiedziony naukowo-artystyczną intuicją; po czym, gdy się okazało, że nie wszystko nadaje się do druku, bez najmniejszej żenady całą rzecz poprzerabiał, wkładając w usta świątkarza zupełnie co innego niż za pierwszym razem. Środowisko etnograficzne jest częstokroć o wiele ciekawsze i bardziej egzotyczne niż świat kultury ludowej. Gdyby przemówiły wszystkie rzeźby, o których autorstwo pomawiany jest świętej pamięci Heródek z Orawy, dowiedzielibyśmy się ciekawych rzeczy... Przedsięwzięciem potwornym, niczym biblijna rzecz niewiniątek, byłoby drobiazgowo przebadanie autentyczności wszystkich zabytkowych góralskich obrazków na szkle z muzealnych kolekcji, wszystkich nikiforów... Może ktoś słyszał o wytwórni eksponatów etnograficznych za Gubałówką, ługowanych, szorowanych ostrą szczotką i wędzonych w bardzo funkcjonalnej wędzarni, która sama w sobie byłaby chlubą skansenu... Ale trochę zboczyliśmy z tematu. Sztuka ludowa etnografów to dzieła plastyki ludowej, wykonywane przez samych etnografów, zniecierpliwionych, że twórcy ludowi, mimo tylu porad i perswazji, tworzą dzieła wciąż niedostatecznie ludowe, a mimo to intratne. Nie będę tego tematu rozwijać, bo nie chcę.

To tylko garść przykładów. Dobrałem je tendencyjnie — tak, by zilustrowały następującą tezę: wypełnianie białych plam to w niewielkim tylko stopniu umiejętność wykorzystywania politycznej koniunktury. Wypełnianie białych plam to sztuka o wiele trudniejsza. Sztuka patrzenia w lustro.

grudzień 1988

## NAGRODY

Jury pod przewodnictwem prof. dr hab. Zofii Soklewicz postanowiło przyznać w 1989 r. nagrody kwartalnika „Polska Sztuka Ludowa” za najlepsze prace magisterskie z dziedziny ludowej kultury artystycznej. Otrzymały je:

1. Danuta Benedyktowicz — za pracę *Dom i bezdomność w kulturze ludowej i twórczości artystycznej*, powstałą na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie pod kierunkiem doc. dr hab. Anny Zambrzyckiej-Kunachowicz.
2. Joanna Dankowska — za pracę *Ubiór i haft ludności ukraińskiej na terenie wsi i gminy Bance Mazurskie*, powstałą na Uniwersytecie Poznańskim im. Adama Mickiewicza pod kierunkiem prof. dr hab. Anny Szyfer.

Nagrody w wysokości po 70.000 zł każda ufundował Departament Polityki i Edukacji Kulturalnej Ministerstwa Kultury i Sztuki.



Figurki ceramiczne z Balcharu (środkowy Dagestan), 1964 r. — repr. z pisma „Dekoratiwnoje Iskusstwo”